NA ZIEMI NASZEJ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Zgon jenerała Sowińskiego.

Dzieje roku 1831. przedstawiają cały szereg kwestji dotąd spornych, ostatecznego a objektywnego i z prawdą zgodnego rozstrzygnienia wyczekujących. Wśród nich może najżywszą do dziś polemikę wywołało pytanie, gdzie zginął, broniąc Woli, jenerał Sowiński, czy w kościołku, czy też na wałach. Wersji pierwszej głównem środkiem są relacje jenerałów Sołtyka i Umińskiego, drugiej — opis majora Świtkowskiego [1]), obie mają swoich zwolenników, lecz wznowiona ostatnimi czasy dyskusja, przeważnie na łamach dzienników [2]), nie przyniosła jeszcze ostatecznego załatwienia, głównie z braku nowych, rzeczowych dowodów.

Relacje Sołtyka i Umińskiego nie odpowiadają prawdzie historycznej, której natomiast reprezentantem dotąd jedynym i stąd często zwalczanym, jest naoczny tych wydarzeń świadek major Switkowski, przedstawiający śmierć jenerała na wałach.

Obecnie dzięki uprzejmości p. Władysława Fedorowicza, członka Izby Panów i właściciela dóbr i cennych zbiorów w Oknie, możemy stwierdzić autentyczność relacji Świtkowskiego o śmierci Sowińskiego, na podstawie wspomnień ojca jego Jana Fedorowicza, który jako starszy sierżant 8-go p. p. l. również był naocznym świadkiem ostatnich chwil Woli i zgonu jenerała. — Wspomnienia te które poniżej podajemy pisane przez syna, w ślad opowieści ojca, w dniu 6 września 1862 r. jako w rocznicę tych wydarzeń, znajdują się obecnie w archiwum w Oknie Są zaś one ciekawe już nie tylko dla tego, że potwierdzają wersję Świtkowskiego, ale co więcej, że ją uzupełniają pierwszorzędnymi a dotąd zupełnie nieznanymi szczegółami o kapitulacji Woli. *Dr. Bronisław Pawłowski.*

Relacja Jana Fedorowicza brzmi:

O Wzięciu Woli 6. września 1831.

Z 5. na 6. września nocowaliśmy pod murami Warszawy po lewej ręce szopy wiodącej do Woli, na błoniach zwanych „Czyste“. Leżeliśmy na ziemi, głowa na tornistrze, w płaszczach, a że noc była zimna żołnierz tulił się jeden do] drugiego. Niebo było jasne, gwiaździste, lecz nad rankiem zaczęły się gromadzić mgły. Około godziny drugiej stanęliśmy pod broń.

Przeziębiłem się w nocy, strasznie mnie głowa bolała. Szeregowiec, stary mazur, jeden z tych starszych żołnierzy, których do naszego nowo-uformowanego pułku jako instruktorów przydzielono, poczęstował mnie wódką ze swej manierki i dał mi kawałek chleba, powiadając „trzeba się wzmocnić bo będzie robota, a może do wieczora nic do ust nie dostaniemy“.

Wschód słońca w tym dniu był krótko przed piątą. Gdy się tylko widnieć zaczęło kazano naszej kompanji maszerować wprost na szosę wolecką. Szliśmy po polu zoranem. Wkrótce zaczęły się odzywać rosyjskie armaty. Gdyśmy dotarli do szosy zastaliśmy ją już ostrzeliwaną przez rosyjską artylerję. Od szosy dzielił nas rów szeroki i głęboki. Nasz pierwszy szereg rów przeskoczył, ale nie wszyscy. Ja skoczywszy chwyciłem się chwastu po drugiej stronie rowu, chwast wyrwał się z korzeniem i runąłem z nim w rów. W tej samej chwili kula armatnia sześciu z naszych, którzy już stali po drugiej stronie rowu, obaliła.

Mazur który mnie był traktował wódką i stał zawsze tuż obok mnie po prawej stronie, jako pierwszy w szeregu, został tą kulą na pół przerwany. Krew i wnętrzności jego obryzgały mnie, tak że chustką musiałem wpierw przetrzeć twarz i oczy, nim mogłem iść dalej.

Wskutek gęstego ostrzeliwania szosy przebiegał każdy spiesznie na drugą stronę tejże, skąd kapitan nasz kazał nam biedz z całej siły do niedalekiej karczemki, w osłonie której dopiero na nowo kompanję sformował. Następnie pomaszerowaliśmy ku reducie wolskiej „Nr. 56“. Składała się ona z trzech oddziałów, z których każdy stanowił dla siebie odrębną fortyfikację.

Weszliśmy naprzód do oddziału największego, zwanego „parkiem“, gdyż były w nim wysokie

---

[1]) Roman Sołtyk „La Pologne“. Paris 1833. t. II. str 411.; Umiński: Relation de l'attaque de Varsovie. Paris 1832, str. 17.; Świtkowski Tomasz „O wzięciu Woli“, Paryż 1833, str. 21.

[2]) Zebrał ją w swej rozprawce p. t. „Wspomnienie o T. Świtkowskim“, Lwów 1905. p. Mieczysław Świtkowski.

drzewa. Następnie przeszliśmy do drugiego oddziału w którym stoi kościół. Ustawiono nas wzdłuż szańca nad szosą. Ja stałem w miejscu, w którem szaniec prawie przytyka do głównej szosy warszawskiej.

Wyszedł na nasze spotkanie sędziwy generał Sowiński o białych włosach i jednem szczudle. Przywitał nas i rozkazał abyśmy śniadali. Tymczasem zaczęły nadciągać inne oddziały naszej piechoty. Pułkownik nasz Piotr Wysocki zjawił się i podszedł ku Sowińskiemu. Obaj rozmawiali niedaleko odemnie pod kościołkiem. Wysocki zawołał mnie. „To moja lorneta“ rzekł do Sowińskiego a do mnie „idź za generałem.“

Muszę tu dodać, że pułkownik używał mnie często w swej kancelarji polowej. Wiedział, iż mam znakomity wzrok, bo nieraz gdyśmy stali za Narwią, kazał mi patrzeć co się dzieje po drugiej stronie rzeki. Dał mi też wówczas doskonały karabinek, jeden z tych, których pewną ilość przysłało nam z Anglji „Towarzystwo przyjaciół Polski“.

Wszedłem za generałem Sowińskim do narożnika, wysuniętego ostrym końcem w stronę nieprzyjaciela. Tam koło armaty zatrzymał się Sowiński. Spytał mnie: „Jak się zowiesz?“ „Jan Fedorowicz, starszy sierżant 8. pułku piechoty“. „Czy krewny pułkownika Jana Fedorowicza?“ „Nie — z Galicji“ „Rodzice?“ „Andrzej, właściciel dóbr Żerebki szlacheckie w cyrkule tarnopolskim“. „Stój tu i uważaj na ruchy nieprzyjaciela. Powiesz mi gdy spostrzeżesz coś ważniejszego“. Po tych słowach zwrócił się do kapitana. Następnie przyjmował raporty i wychodził często do drugiego oddziału gdzie był kościołek. Ogień armatni stawał się coraz silniejszy i wprost ogłuszał. Sowiński patrzył przez lornetę, ale często pytał mnie o jakiś przedmiot daleki, gdyż horyzont był jeszcze dość mglisty i dobrem okiem lepiej można było śledzić nieprzyjaciela, niż przez lornetę kieszonkową.

Stojąc wpatrzony w stronę nieprzyjaciela usłyszałem tuż za sobą przeraźliwe „pilnuj“. Odwróciłem się i widzę jak podoficer nasz, stary napoleończyk, przysiadłszy, ręką stara się uchwycić wirujący po ziemi granat. Nimem się ocknął z przerażenia uchwycił on ten granat jak piłkę i wyrzucił go za parapet.

Żaden z nas młokosów byłby tego nie uczynił, tylko taki stary napoleończyk, który wiedział z doświadczenia, iż to jest możebnem. Tym czynem uratował on tak sobie jak i nam wszystkim życie, gdyż gdyby był czekał aż lont tlejący dopali się do prochu, byłby granat, pękając w tak ciasnem miejscu, wszystkich nas swymi odłamkami rozszarpał.

Po zdobyciu redut nr. 57, 55 i 54 byliśmy z trzech stron zasypywani kulami, które wkrótce wybiły wszystkich artylerzystów i ich dowódcę, kapitana Krzywickiego. Odtąd artylerja nasza była pozbawioną obsługi, a generał Sowiński, z zawodu artylerzysta, sam kierował armatą naszego narożnika, podczas gdy my, ósmaki i dziesiątaki, pomagaliśmy mu w obsłudze. Sowiński raz wraz posyłał do Warszawy gońców po posiłki, które jednak nie nadchodziły.

EDMUND LIBAŃSKI.

U PROGU KOMUNIKACJI POWIETRZNEJ.

(Awiatorzy. — Ofiary tryumfów. — Zepellin i Republique. — Wojna z balonami. — Nowe armaty. — „Hangarville“ miasto machin latających. — Triplan Farmana (1000 klg.). — Nowy balon sterowany. — Wyścigi napowietrzne we Lwowie. Stow. „Awiata“).

Kapitan Ferber, profesor szkoły artylerji w Fontainebleau, pod pseudonimem *de Rue* sekretarz *Comité aviation aeroclub France* zginął.

Był on duszą ostatniego dziesięciolecia awiatyki we Francji. Jemu Voisin (słynny dziś wynalazca typu biplanu) zawdzięczał powodzenie i rozgłos. Znakomity teoretyk sprawdzał swe głębokie matematyczne wywody, dotyczące wznoszenia ciał cięższych od powietrza, doświadczeniami.

I oto przyszedł do wniosku, że trzeba czynić próby wzlotowe z zarzuceniem rozpędowych kół u spodu aeroplanu i z opuszczeniem tylnych pletew, stabilizujących machinę napowietrzną.

Nie na przygotowanej arenie, ale w czystem polu bez należytego zbadania prądów powietrznych, urządził wzlot na swym b i p l a n i e. Uniósł go na 8 m. w górę, wtem nagły impulsywny prąd wiatru rzucił go wstecz o 2 m. (tak opisują świadkowie katastrofy), aeroplan przechylił się, ciężar 340 *klg* przestał bujać na sprężystych poduszkach powietrza pod skrzydłami i rzucił machinę w dół. Gdyby miał koła, zderzenie byłoby złagodzone, odjął je jednak śmiały awiator i tak stało się, że potoczył się z machiną w rów, a ciężki motor przywalił mu ciało.

— A to pech! — zawołał jeszcze, gramoląc się z pod potrzaskanego skrzydła — znowu machina popsuta... — były to jego ostatnie słowa — przestał żyć!

Dwa dni przedtem napisał był w „Matin“ przez cały Paryż czytany artykuł: „J a k m o ż e a e r o p l a n u l e d z k a t a s t r o f i e? Było to po tragicznym wypadku Lefévra, znakomitego pilota biplanu „*Wrighta*“.

Tak padły nowe dwie ofiary dla »*przyszłego*« tryumfu ducha ludzkiego, podboju atmosfery.

...Nie masz laurów, zwycięstw, nie masz tryumfów bez ofiar!

Bleriot potłukł się kilkanaście razy, pokaleczył dotkliwie, nim zdołał wyrwać przyrodzie cząstkę tajemnicy ujarzmienia oceanu powietrza, cząstkę... bo do tryumfu zupełnego jeszcze daleka droga.

Przypominam sobie jeszcze jeden epizod z tych chwil. Już gdy zaczęła się piechota rosyjska wdzierać się z różnych stron do wnętrza reduty, widziałem jak wzdłuż szosy, w kierunku od Warszawy, ochotnicy rosyjscy zbliżali się w ten sposób, że kryjąc się przed ogniem naszym po za topole, któremi droga z obu stron była obsadzona, strzelali do nas z tego ukrycia, poczem przebiegali szybko do następnego drzewa. Jak się później dowiedziałem ochotnicy ci byli z pułku sybirskiego Nabokowa. Jeden z nich, jakiś rudy, bardzo nas raził celnemi strzałami. Nie mając już na co patrzeć w dal, wziąłem go na cel, czekając chwili w której będzie przebiegał do następnej topoli. Wyglądał on kilka razy swoją rudą twarzą z poza drzewa, ale jakby widząc wymierzony w siebie mój sztuciec chował się. Nareszcie skoczył naprzód, lecz runął na ziemię od mej kuli.

Wkrótce pułkownik nasz Wysocki został raniony i złożono go w kościołku, który dotychczas służył za skład prochu; później znoszono do niego rannych oficerów. Nieprawdą jest, ażeby w tym kościołku podczas szturmu były kobiety i dzieci; do żadnej z redut ich nie wpuszczano; nieprawdą jest również, ażeby Sowiński został zabity w kościołku. Bajce tej zaprzeczyli zresztą i inni świadkowie naoczni, przedewszystkiem major nasz Tomasz Świtkowski w broszurce swej wydrukowanej w rok po upadku powstania w Paryżu pod tytułem „O wzięciu Woli“.

Długi czas nie chciano tej legendy dotykać, tak samo jak legendy o rozmyślnem wysadzeniu w powietrze reduty 57-mej przez Ordona. Od czasu jednak, jak anegdotyczny sposób traktowania historji, ustąpił miejsca ścisłym i krytycznym metodom, żaden poważnie rzecz traktujący nie poda faktów inaczej, aniżeli tak, jak je krytyka historyczna przez autentyczne dowody sprawdziła i uwierzytelniła. O ile moje osobiste wspomnienia tej walki sięgają, opowiadam tylko to, co widziałem naocznie.

Strzelaliśmy już wszyscy jak w gorączce, wiedząc, że żaden z nas nie ujdzie przemocy. Nie przypominam też sobie, co się dalej wokoło mnie działo aż do chwili ostatecznej katastrofy, w której nas wszystkich, w narożniku umieszczonych żołnierzy z 8-go i 10-go pułku piechoty wraz z generałam Sowińskim bagnetami wykłuto. Chwila ta tyle razy rozmaicie opisywana i przedstawiana na sztychach i obrazach, o ile ją sobie przypominam, miała się tak: Rosjanie ukazali się u wejścia do naszego narożnika. Oficer ich — pamiętam go doskonale — młody i przystojny człowiek o jasnej cerze, wstrzymawszy żołnierzy rozkrzyżowaniem ramion, zawiesił białą chustkę na swej szpadzie. Na to Sowiński wysłał do niego kapitana Nowińskiego, z którym oficer rosyjski mówił po francusku. Nowiński powtórzył jego słowa po polsku generałowi. Słyszeliśmy je wszyscy, bo było nas już tylko kilkunastu i staliśmy blisko otaczając naszego generała. Były to słowa: „Ponieważ reduta jest już w całości zdobyta, dalszy przelew krwi nie ma celu. Honorowi wojskowemu stało się zadość, niechaj dla ocalenia życia tych młodych ludzi generał rozkaże złożyć broń“. Sowiński wymienił po-

---

Stabilizacja aeroplanu, automatyczne utrzymanie równowagi w lotnym żywiole, równowagi tego sztucznego ptaka z żelaznem sercem motoru o wadze ponad 200 *kg* i pulsie 1000 uderzeń na minutę, ta sprawa czeka jeszcze pomysłu twórczego — a i motor benzynowy nie jest odpowiedniem sercem tego tworu napowietrznego, technika współczesna nieopanowała jeszcze należycie materjału i konstrukcji dla tych machin.

Oto śruba powietrzna Zepellina III. odrywa się od osi, w szalonym pędzie wirowym przebija powłokę balonu (na szczęście jednego—Zepellin III. ma 17. takich w podłużnym kadłubie) i statek napowietrzny szybko opadać musi dla naprawy.

Oto znowu wspaniały statek *Republique* szybujący już z chyżością 60 klm. w wysokości do 500 m. przebity zostaje podobnie rozluźnioną oderwaną śrubą z łożyska, gazy uchodzą, zapalają się od motoru — eksplozja i cztery osoby giną.

A przecież, sprawa to doprawdy porywająca, jak solidarnie biją serca tysięcy i miljonów na kuli ziemskiej... współczucie głębokie cześć dla bohaterów pracy i postępu, co „padli wśród zawodu, dając poległym ciałem innym, szczebel do sławy grodu“.

To moment, który najbardziej skostniałego mizantropa może ożywić wiarą w jakąś wprost mistyczną potęgę żywiołowych pragnień i tęsknot duszy człowieczej...

Cienie tych, którzy byli i torowali drogę przyszłości — żyją!!

Wiara w ziszczenie ideałów wiedzie ludzkość etapami naprzód — wiara w ziszczenie ideałów rozlicznych dziedzin bytu tak na polu materjalnem, techniki i rozwoju ekonomicznego, jak w dziedzinie moralnej etyki i miłości bliźniego...

Tryumf współczesny ducha ludzkiego ślepemi potęgami przyrody wyrósł z pobojowiska ofiarnej pracy, poświęcenia i zgonów cichych lub głośnych setek tysięcy, którzy od dawna lub niedawna przeszli w krainę cieniów, krainę zasłoniętą hałaśliwą falą przelewającego się nieustannie życia...

Wobec cudu życia... jakżeż śmiesznie i marnie przedstawiają się wysiłki człowieka, zmierzającego do u ś m i e r z e n i a bliźnich.

Statki powietrzne — ostatnie żelazne ptaki poczynają się unosić nad ziemią i już myśl człowieka pracuje nad dziełem zniszczenia.

Na wystawie frankfurckiej widziałem te śmiercionośne narzędzia przeznaczone do niszczenia twórczej pracy.

Olbrzymia lufa wznieść się może ku górze aż do 700 m Pocisk waży 18 kg., jest zdolny wzbić się do wysokości 11.400 m. i przelecieć odległość 13.500 m. Z lufy tej nachylonej tylko pod

tem z kapitanem kilka słów po francusku, poczem kapitan dał nam rozkaz: „Złożyć broń“. Złożyliśmy nasze karabiny na ziemię, a kapitan Nowiński oddał swą szpadę oficerowi rosyjskiemu, ale tylko kapitan, gdyż generał miał tylko laskę. W tej samej chwili padła salwa naszych, zamkniętych w kościółku, w plecy stojących przed nami Rosjan. Strzelono widocznie w celu uwolnienia nas i w nieświadomości zawartej już kapitulacji. Kilku runęło, reszta podniosła przerażający okrzyk „zdrada“ i rzuciła się z bagnetami na nas. Widziałem, jak oficer rosyjski z krzykiem obelżywym uderzył naszego kapitana szpadą w twarz, tak że go krew natychmiast oblała. Więcej już nie widziałem, gdyż zgiąłem się po mój karabin, leżący na ziemi i w tej chwili otrzymałem pchnięcie bagnetem w głową powyżej prawego ucha. Straciłem przytomność i odzyskałem ją aż gdy felczer rosyjski rewidował wszystkich pokłutych dla sprawdzenia czy który jeszcze żyje.

Potem zawieziono mnie z innymi rannymi do pobliskiej wioski Nadarzyn, a następnie po wzięciu Warszawy do szpitala Sierakowskich w mieście, skąd wyszedłem w grudniu wyleczony z mych trzech ran, jednej w głowie a dwu na ramieniu. Z zarządu szpitala otrzymałem trzy urzędowe świadectwa ze stycznia 1832, które posiadam, z podpisami: Buczyński, lekarz dywizji dyrygujący, Budnoski major i baron Ungern Sternberg, praporszczyk „zawiadujący sierakowskimi koszarami“. Gdy mnie uwolniono ze szpitala i oddano moją odzież przechowaną w magazynie, odciąłem na pamiątkę guziki munduru, w którym walczyłem i byłem ranny przy szturmie Woli — zostawiam je synowi memu.

Byłem bez grosza. Na ulicach Warszawy spotkałem przypadkowo kolegę od Jezuitów w Tarnopolu Marcina Zawadzkiego, późniejszego sąsiada, właściciela dóbr Orzechowce i Probużna, ożenionego z Ostrorożanką siostrą hr. Gołuchowskiej. Ten pożyczył mi 4 dukaty, za które dostałem się do Galicji. Dnia 14. lutego 1832 wróciłem do domu rodzicielskiego w Żerebkach szlacheckich.

Spisałem w ślad opowieści mego Ojca w dniu 6. września 1861., w 31 rocznicę bitwy.

Władysław Fedorowicz.

(Właściciel dóbr, członek Izby panów.)

---

kątem 45°, pocisk przeleciałby całe pasmo gór Montblanc.

Pociski są genialnie skonstruowane, eksplozje ich następują dopiero po przedarciu powłoki balonowej i zapalają gaz utrzymujący statek powietrzny ponad ziemią. Śmierć bez pardonu jest jak widzimy dla powietrznych statków całkiem pewną.

Czy jednak nie mylą się ci, twórcy dla molocha wojny, sądząc, że ich pomysły zachwycą ludzkość!

Bo przecież idziemy w nowy okres — świat pracy woła: „pokój ludziom dobrej woli“ — sprawiedliwość niechaj będzie nie litość, a podbój atmosfery to dzieło dla pokoju nie wojny, to potęga nie tylko materjalna ale i moralna, bo unicestwia sztuczne granice, pociągnięte przez zaborcze mocarstwa.

I zwolna wyrasta pogotowie przyszłości może niedalekiej...

Hangarville — miasto „Hangarów“ dla ptaków sztucznych — tak nazwano olbrzymi obszar w *Mourmulon* między Chalons a Berny, na którym rozłożyły się fabryki awiatorów: »*Voisin Frères Sommer-Henry, Farnan* i *Sociéte Antoinette.*

Tam budują teraz na zamówienia monoplany i biplany (Bleriot ma zakład fabryczny w Paryżu).

Świat aeronautów oczekuje obecnie sensacyjnego wzlotu, mianowicie triplanu Farmana.

Ten ptak trójskrzydły waży nie mniej ni więcej jak 1000 kg., motor Levasseura daje 120 K. P.

Zwolennicy statków balonowych mają również *clou* w „Manheim“, tam kończy się budowa olbrzymiego statku Schüttego (system Zeppellina) o szkielecie drewnianym długości 130 m. o średnicy $18^1/_2$ (pojemność gazu 20.000 m³ — Zepellin III. ma 15.000 m³). Cały naród bierze udział w tej pracy, za tymi pionierami stoją nie setki tysięcy obywateli, ale miljony hen po obu stronach Sekwany jak i na wschód i zachód Renu...

W atmosferze kultury zachodu i najbardziej zaśniedziały umysł odczuwa tętno nowego czasu, w którym człowiek najpłomienniejszem pożądaniem pragnie swe stopy oderwać od Matki-ziemi i wzbijać się w obłoki.

Jestem pewny, że i u nas dziedziny tej nie pokryje milczenie, lecz wyrośnie zastęp ludzi, którzy umożliwią, by i imiona polskie zabłysły na świetlanych kartach tych doniosłych prac.

Stowarzyszenie „Awiata“*) ma zapoczątkować swą pracę już w dziedzinie praktycznej i wedle stanu dotychczasowych zabiegów, jest rzeczą prawie pewną, że wyścigi napowietrzne aeroplanów we Lwowie odbędą się już w roku przyszłym.

*) O statutach stowarzyszenia i bliższych szczegółach informować się można u inż. Libańskiego — Lwów Obertyńska 8 (telefon 41/IV).

Kwestjonarjusz celem badania chaty włościańskiej w Polsce.

Za podstawę do ułożenia powyższego kwestjonarjusza służył kwestjonarjusz zawarty w „Sztuce ludowej w Polsce“ K. Mokłowskiego.

1. Naszkicować sytuację całego obejścia gospodarczego, stanowiącego typ zagrody włościańskiej danej miejscowości — ewentualnie powiatu, względnie obszaru etnograficznego. Oznaczyć w niej wzajemne położenie chaty i budynków gospodarczych względem drogi. Na planie oznaczyć strony świata i wpisać wymiary długości i szerokości budynków i wzajemne odległości w metrach albo w sążniach lub krokach.

UWAGA. Skoro istnieją obok siebie dwa typy zagród lub chat np. zamożniejszych włościan i uboższych należy opisać obydwa typy z osobna i podać przy każdym jaki obszar ziemi jest podstawą gospodarstwa.

C h a t a.

2. Naszkicować plan (rzut poziomy) chaty — oznaczyć w nim rozkład izb jak świetlica (izba biała), piekarnia (izba czarna), komora, sień — alkierz itp. z zachowaniem znamiennych nazw miejscowych — oznaczyć w ścianach drzwi i okna, podać wymiary.

3. Zbadać na czem leżą podwaliny chaty, czy na podmurowaniu (jakiego rodzaju) czy na słupkach czy wprost na ziemi, czy też może zachodzi ten wypadek, że chata stawiana w słup podwalin wcale niema, a narożne słupy są wkopane w ziemię (chata naddniestrzańska).

4. Podać z jakiego tworzywa złożony jest zrąb chaty. Skoro z drzewa — podać jego rodzaj, jakiego złożenia są ściany, czy na „węgieł“ (na zamek, na wieniec na zrąb) czy może na słup. Przy chacie k ł a d z i o n e j na węgieł wyróżnić rodzaj bierwion (które wchodzą w skład zrębu, czy są to okrąglaki, czy półokrąglaki, czy płazy, czy też brusy), podać w centymetrach, lub w calach szerokość jednego z najszerszych bierwion.

Zbadać czy półokrąglaki, płazy, czyteż brusy są ciosane siekierą, czy też rozrzynane piłą, następnie może heblowane.

Opisać i narysować szczegółowo sposób zacinania i układania bierwion u węgła i podać nazwę jego. Czy używa się „tebli“ do wzajemnego usztywnienia bierwion. Czy istnieje jaka inna nazwa na ten szczegół konstrukcyjny.

Skoro chata jest s t a w i a n a w słupy — należy opisać lub naszkicować sposób łączenia i umocnienia słupów z płatwią i podwaliną. Czy są ukośne zastrzały (miecze), jak są umocnione, czy nakładane i kołkowane, — czy na czop założone. Naszkicować szkielet chaty z czoła i z lica.

Opisać szczegółowo z zachowaniem miejscowych wyrażeń technicznych z czego zrobiona jest ściana między podwaliną, płatwią i słupami, a więc: czy to jest plecionka chruściana z obustronną polepą gliny, czy może tarcice wsunięte w rowki (felce) słupów, z przybitymi ukośnie listwami, a zatarte zaprawą z gliny i słomy, — czy też może okręcane na pionowo osadzonych między płatwią a podwaliną tykach powrósła słomy lub siana maczanego w rzadkiej glinie, czyli w jaki inny znamienny sposób.

Jeśli zrąb chaty zbudowany jest nie z drzewa, lecz z innego jakiego tworzywa (jak np. z cegieł wyrobionych ze słomy i gliny lub błota, suszonych na słońcu, albo z kamienia czy to rzecznego, czy np. pochodzącego z pobliskiego kamieniołomu), w każdym takim wypadku należy opisać dokładnie na podstawie miejscowych informacji cały tok roboty.

D a c h.

Naszkicować w przekroju poprzecznym układ wiązania dachu i podać wymiary jego szerokości i wysokości. Opisać łączenie drzewa ze sobą we więzbie (nakładka czy czop, kołki drewniane czy gwoździe) i podać miejscowe nazwy używane na oznaczenie poszczególnych części więzby. Naszkicować kształt dachu od strony licowej.

Jaka jest szerokość okapu t. j. krawędzi dachu od zrębu, ze wszystkich czterech stron. Czy okap powstaje z przedłużenia krokwi, czy z osobnych przepustnic (najduchów, znajduchów, bękartów).

Czy z którejkolwiek strony nie rozszerza się okap tak, że tworzy t. z. podcienie (albo przysionek). Na czem leży platew podcienia — czy na wysuniętych bierwionach zrębu (t. z. rysiach) czy na osobnych słupkach (podać ich ilość) czy też na obydwu rodzajach podpór odrazu. Narysować kształt wycięcia rysiów i słupów podcienia. Czy podcienie posiada poręcze, balaski, czyli jest otwarte.

Czy istnieje ganek przed wejściem — narysować jego sylwetę i szczegóły zdobnicze. Czem są przytwierdzane łaty do krokwi, kołkami drewnianymi, czy gwoździami. Czem dach jest kryty: dranicami, gontami — trzciną — szuwarem — korą — słomą, jaką: żytnią, pszenną czy owsianą, kłosami na dół czy pniem, czy z nową dachówką.

Czy są w dachu okna lub dymniki, w których jego częściach, naszkicować ich kształt i rozmieszczenie w dachu. Czy jest jaka zdobniczość strzechy lub gontów, na czem polega? Jakie zdobnictwo lub znaki są umieszczone na czołach dachu (słoneczka, deski układane wzorzyście — u szczytu pazdury, głowy końskie lub rośliny w desce wycięte) — podać ich nazwy.

Z e w n ę t r z e c h a t y.

Czy chata jest zewnątrz bielona lub malowana?

Jakie są okna — jakich wymiarów, wiele szyb — w co są wprawione? Czy są do otwierania, w jaki sposób — czy istnieją okiennice.

Jakie oddrzwia u wejścia głównego, jak połączono w nich słup z poziomą belką. Podać kształt wykrojenia otworu drzwiowego — czy prostokątny, czy okrągły u góry, czy innego jakiego kształtu. Jakiego rodzaju dźwirza, czy z desek kołkami lub gwoździami umocowanych, czy także z deszczułek w deseń układanych. Jakiego rodzaju zawiasy, czy żelazne, czy może drewniane wierzeje. Opisać lub narysować konstrukcję zamka drewnianego, jeśli jest.

Wnętrze.

Czy sień ma powałę?

Czy izba czarna (piekarnia) ma powałę — jaką, gdzie znajduje się w izbie ognisko — czy jest komin, czy może chata jest kurna. W jaki sposób urządza się ognisko, opisać tok roboty.

Czy ściany izb są wylepione gliną i bielone — czy może pozostawiono surowe drzewo.

Jaką świetlica ma powałę — jakie jest bierzmowanie (układ tragarzy, sosrębów).

Jak jest zdobione — z jakich desek strop.

Jaki piec w świetlicy, kamyczkowy, czy kaflowy — czy zwyczajne ognisko.

Wyliczyć i opisać co mieści w sobie świetlica a co izba.

Jak są ustawione ławy, stoły, skrzynie, stołki, łoża, kołyski, listwy ozdobne?

Jak wiszą obrazy? Jakie ramy do obrazów? Jakie naczynia gliniane i statek kuchenny, gdzie nabywany?

Jak dawno stoi opisywana chata? Kto ją budował, jak się nazywał „majster“ i skąd pochodził?

Budynki gospodarcze.

Wyliczyć wszystkie budynki, podać rozkład każdego z nich i konstrukcję (podobnie jak przy opisie chaty). Czem są kryte. Czem ograniczona jest zagroda: płotem, parkanem, jakie są wrota i brama wjazdowa.

Narzędzia.

Jakie narzędzia gospodarcze są w użyciu? pług, siekiera, kosa, stępa, młynek ręczny, kobylica do międlenia konopi, widła, grabie itd.

Pytania ogólne.

Jaka jest najstarsza chata we wsi — ogólny opis (konstrukcja, krycie dachu, ilość i rodzaj izb).

Jak wedle tradycji ludowej budowało się dawniej i dlaczego zarzucono dawny sposób budowania.

Jakie rodzaje drzewa są wedle opinji ludowej najodpowiedniejsze na budulec; w jaki sposób przygotowuje się materjał drzewny do budowy, aby trwał jak najdłużej.

Jakie zwyczaje są przy zakładzinach?

Jakie zwyczaje przy wprowadzaniu się do nowej chaty?

Jakie zwyczaje przy wprowadzaniu żony po raz pierwszy do chaty?

Jakie pieśni odnoszą się do mieszkania i gospodarstwa?

Jakie znaczenie mają wedle opinji ludowej typowe motywy zdobnicze?

Lwów, dnia 22. września 1909.

Tadeusz Mokłowski.

Herby miast jako dekoracja.

Jeżeli herby i pieczęcie miast polskich sięgają niekiedy swoim początkiem zamierzchłych czasów średniowiecza — to dziś poszły one tak bardzo w zapomnienie, że największe nieraz i najkulturalniejsze miasta nie wiedzą właściwie jakim się herbem mają pieczętować. Wystarczy popatrzeć, co się dzieje z tak piękną i chlubną pamiątką dziejową jak herb miasta Lwowa — starożytny lew ozdobiony i uzupełniony przez papieża Sykstusa V.—tylekroć przez poetów opiewany — aby zrozumieć fakt, że dzisiejsze ustroje miejskie zerwały całkowicie z tradycją swojej przeszłości. Lwów pieczętuje się wprawdzie swoim tradycjonalnym lewkiem, trzymającym trzy pagórki z gwiazdą, ale lewek ten, trzy bramy, korona królewska u góry, baszty, tarcza herbowa w każdym poszczególnym wypadku ulegają dowolnym modyfikacjom tak, że niema dwu lwowskich lewków, któreby były już nie identyczne, ale przynajmniej do siebie podobne.

W innych miastach dzieje się jeszcze gorzej, a do wyjątkowych zjawisk należy taki naprzykład burmistrz miasta Szczerca, który dołożył wszelkich starań, aby ustalić wreszcie i na dawnych dokumentach oprzeć herb swojego grodu.

Wobec tego byłoby bardzo na czasie wydawnictwo herbarza miast polskich, a przynajmniej galicyjskich, opartego na dokumentach i podającego podobizny autentycznych herbów miejskich. Co do miast galicyjskich, to herbarz ich przygotowuje i od wielu lat materjały doń zbiera urzędnik archiwum miejskiego p. Franciszek Kowaliszyn. Praca, dokonana z wielkim nakładem staranności i zabiegów, jest już całkiem prawie gotowa — braknie niestety tylko... nakładcy.

Z tem większem przeto uznaniem podnieść należy myśl znanego i rzutkiego przemysłowca lwowskiego p. Aleksandra Lewickiego, który pragnie spopularyzować herby miast polskich, w formie dekoracji ściennych. Pan Lewicki posiada zakład malowania na porcelanie i wypala w nim dzieła, z których każde przekracza zwykły poziom przemysłowy, a wykończeniem swojem i artystystycznem zacięciem, stoi o całe niebo wyżej od zwykłych produktów fabrycznych. W ostatnich czasach począł p. Lewicki wyrabiać talerze dekoracyjne z herbami miast polskich. Herby malowane ręcznie z uwzględnieniem barw ich i heraldycznych szczegółów, wypalane następnie w specjalnym piecu o temperaturze 800 stopni, są pięknym a swojskim nabytkiem przemysłu krajowego. I mają ponadto wszelkie warunki po temu, ażeby markę fabryczną lwowskiego przemysłowca przechować w historji porcelany, która w Polsce ma tak piękne karty jak Korzec, Belweder, czy Baranówka. Bo jako dekoracja ścienna wisieć one mogą godnie obok porcelany starowiedeńskiej, czy staroberlińskiej i oko na nich łacniej spocznie, bo wyobrażają rzeczy swojskie.

Jak wogóle każdy, kto się tknie herbów miast polskich, ma i p. Lewicki wielkie trudności z zebraniem autentycznych ich podobizn. Stąd też pochodzą niedokładności heraldyczne, stąd też i np. lewek lwowski na talerzach p. Lewickiego nie jest ten sam, co na autentycznym herbie Lwowa.

Ale przypuścić należy, że p. Lewicki nie zrazi się trudnościami i może będzie tym, który spopularyzuje herby miast polskich do tyla, że staną się one piękną ozdobą mieszkań, przypominając zarazem i obowiązki mieszczan wobec własnego miasta i wiekową tradycję, której każdy prawie herb miejski jest niekiedy jedynym już tylko reprezentantem, jedyną pamiątką. *J.*

Nowele Arcybaszewa.

(MILJONY. — ŚMIERĆ IWANA LANDEGO[1]).

Rosyjskie społeczeństwo. — Ludzie nieszczęśliwi przeważnie — czy z powodu wypadków samych zewnętrznych czy uświadomieniem ich sobie wewnętrznem, tęsknotą za czemś nieraz nieuchwytną. Tak samo miljoner i chłop (jak „Konowałow“ Gorkiego). Pierwsi nie wychodzący poza siebie, nie widzący siebie samych? Typy różne i cieniowania plutokracja moskiewska, kupiecka ordynarna, używająca, — małomiejskie sfery zalękłe o swój byt, nie pojmujący czego innego — chłopi wegetujący raczej nie żyjący na prawdę. — Okrutny, zaskrzepły w swej wierze fanatyk i pop taki sam, choć nie tak brutalny. A dalej suchotnik beznadziejnie konający, charaktery saninowskie wreszcie. Jeden typ skończony wśród nich. To w tych dwu nowelach.

Dwa różne od siebie zgoła przejawy życia, odmienne problemy i postacie główne, dwa odbiegające od siebie środowiska kreśli tu pisarz. Kreśli różnie, ściślej: innej używa metody charakteryzującej, co się łączy z istotą tematu i z niego wypływa.

Bojana od życia, od ludzi przegrodziły „miljony“. Oddzieliły zewnętrznie i wewnętrznie — w charakterach i w stosunkach zewnętrznych. Mimo całej jego samowiedzy wpłynęły na jego charakter równocześnie, stały się powodem przypuszczeń i przekonania, że w stosunkach do ludzi nie o niego chodzi, lecz o jego własność. Wszczepiły tęsknotę za tem, by tak nie było — rozczarowanie i ból, gdy tak jest. — Wypaczyły — lub upodliły stosunek do niego tych, z którymi się zetknął. Pieniądz stanął między nim a życiem — ludzi od niego oddalił, jego zakrył sobą przed ludźmi. W tem jego tragedja, że tak jest i że on wie, iż tak jest.

Iwan Lande, chrześcijanin prawdziwy w noweli drugiej. Chrześcijanin nie wyznania, — nie apostoł w słowie, lecz w czynie. Człowiek cieleśnie ułomny, od otoczenia swego zgoła różny, charakter prosty i jasny Rozwodzić się nad tem długo nie sposób. bo przedstawić trudno, tak jak trzeba — przeczytać się musi, by wyczuć prawdziwość człowieka i przedstawienia go.

Metody inne charakteryzacyjne z powodu treści. Wewnętrzna walka w noweli pierwszej — stąd złożoność osób, przejawiania się ich różne i sprzeczne, plastyczność nie charakterów, lecz rysów poszczególnych, przejawiających się. Opisy — i w drugiem opowiadaniu też, choć mniej — ogólne, wrażeniowe, wychodzące poza szczegóły i osoby, dla których tło stanowią, z niemi łączne, nie odurzające się — jednym rysem przeprowadzone.

W „Iwanie Landem“, nie walka wewnętrzna, lecz akcja jednolita i prosta, charakterów kontury w całości, choć nie docieniowane nieraz i niedoprowadzone. *Wł. J.*

[1]) W tłóm. niemieckiem Monachjum i Lipsk. „Śmierć Iwana Landego też w „Bibl. dzieł wybor“.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Kwartalnik etnograficzny Lud, wydawany przez Towarzystwo ludoznawcze, przyniósł w tegorocznym podwójnym zeszycie oprócz rozprawy znanego etnografa dr. Michała Żmigrodzkiego o totemiźnie, nader cenne przyczynki p. W. Klingera do wpływów starożytności na folklor słowiański, notatę p. Sz. Matusiaka na temat pochodzenia nazwy: Wieliczki i Bochni, obszerny szkic p. A. Fischera o ludowym piosenniku prof. Porębowicza, w dziale zaś notatek rzecz p. K. Królińskiego „O muzyce ludowej“, Fr. Gawełka „Z Jaworza na Śląsku austrjackim“ oraz szereg rzeczy drobniejszych jak H. Nuzikowskiej „Kometa w r. 1812 w Muszynie“, E. Kołodziejczyka „Zwyczaje, obrządki, zagadki i pieśni ludu kaliskiego w okolicach Wielunia“, Sz. Goneta szereg długi „Spiewek z okolicy Andrychowa“, kilka t. zw. „rozmaitości“, recenzji i sprawozdań. Zeszyt kończą sprawy Towarzystwa. Wartość zeszytu podnosi kilkanaście nader udatnie wykonanych ilustracji, jak nie mniej osobny dodatek nutowy. Pomimo widocznej staranności redakcji około strony wewnętrznej, jak nie mniej typograficznej wydawnictwa, dziwnie obojętnie zachowuje się wobec niego nasz ogół inteligentny. Czyżby nie odczuwał ważności badań, podjętych przez Towarzystwo ludoznawcze, jedyne na całym obszarze ziem polskich ? !... *Zet.*

Teorja Peiskera o niewoli prasłowiańskiej w świetle krytyki. Dr. Franciszek Krček. Lwów. 1909. 8-ka. str. 20. Praca zasłużonego etnografa, drukowana pierwotnie w „Kwartalniku historycznym“, jest objawem pocieszającym z tego względu, że zaczyna się u nas stopniowe otrzeźwienie na punkcie wiarygodności badań uczonych obcych, specjalnie zaś niemieckich, o ile one tyczą się naszej przeszłości. Zdaniem Peiskera — Słowianie w czasach przedhistorycznych jęczęli pod jarzmem niewoli. Dr. Krček na podstawie gruntownych roztrząsań wykazuje dowodnie całą znikomość twierdzenia niemieckiego profesora, poddawszy je druzgocącemu wprost rozbiorowi. *Zet.*

En Allemagne. De Hambourg aux marches de Pologne. Jules Huret. Paris. 1908. 8-ka. str. 497. Sporo kart tego obszernego opisu wrażeń z podróży poświęcił autor sprawie polskiej w Poznańskiem, jakkolwiek roi się tutaj od sądów nam wręcz nieprzychylnych, imputowanych turyście przez rozmaitych działaczy hakatystycznych i biurokratów zaślepionych. Pomimo nich wszelako nie na jednem miejscu nie mógł już autor ukryć swojego zdziwienia wobec żywotności i siły rozwojowej żywiołu polskiego. Co jednak najcharakterystyczniejsze — to dziwna obojętność i brak krytycyzmu wobec ustaw wyjątkowych, stosowanych przeciwko nam Poznańskiem. A wszakżeż autor jest Francuzem i republikaninem!... *Zet.*

Wilhelm Blos: Rewolucja francuska. Przekład z niemieckiego, przejrzany i poprawiony przez dra Bolesława Limanowskiego. Wyd. II. z 2 ryc. Kraków. Sp. nakł. „Książka“. str. VII — 414 m 8-vo. Cena 4 K.

Książka ta, której w przeciągu krótkiego czasu już drugie wydanie się pojawia, nie jest rzeczą naukową w ścisłem tego słowa znaczeniu. W tym względzie w ogóle zauważyć należy, że mimo dość żywego ruchu na polu przyswajania nam opracowań historycznych literatury obcej, o rewolucji francuskiej nie mamy przekładu **ż a d n e j** poważnej publikacji. Tłómaczenie Taine'a, wydane przed laty, utknęło na pierwszym tomie, klasycznego Tocqueville'a mamy w bezużytecznej przeróbce, a już ani mowy o obszernym, bo ośmiotomowym Sorelu albo kapitalnej książce Aularda, stanowiącej dzisiaj ostatnie słowo nauki. O tej ostatniej rzeczy istnieje wprawdzie wersja, iż została przetłómaczoną, ale tajemnicą Towarzystwa nakładowego zostanie, dlaczego trzyma w ukryciu rękopis, który na tem tylko traci, bo n. p. ostatnia edycja oryginału Aularda jest już o cały arkusz rozszerzoną, wobec czego i rękopis przekładu wymagać będzie rewizji. Na razie zadowolić musi zwykłego czytelnika Blos. Pisany jasno i przejrzyście, ze znajomością rzeczy, czyta się z zainteresowaniem. A że autor wykłada z temperamentem i sympatji swoich nie kryje pod korcem, w tem tkwi sekret popularności i powodzenia. Rewizja przekładu, dokonana przez p. Limanowskiego wyszła książce tylko na dobre.

E. Kipa.

NOTATKI.

Doskonalenie rasy ludzkiej. W ostatnich latach daje się zauważyć wśród uczonych, pracujących nad biologją tyczącą się człowieka, nowy kierunek, celem którego jest badanie kwestji „rasowej biologji i hygjeny“. Do niej zaliczają kwestje zmienności, dziedziczności, degeneracji, wpływów środowiska itp. Obok teoretycznych prac uczeni mają na względzie i praktyczne zastosowanie w życiu wyników i wymogów nauki. W 1905 r. w Berlinie utworzyło się „Międzynarodowe Towarzystwo dla rozpowszechniania hygjeny rasowej“, tymczasem tylko wśród rasy białej.

Oto kilka danych o jego celu i działalności. Towarzystwo nie podnosi kwestji politycznych i narodowościowych, i dla tego wśród członków jego (dotychczas zaledwie 200) znajdują się ludzie różnych przekonań i fachów. Cele Towarzystwa są następujące: 1) zbieranie materjałów tyczących się normalnej i patologicznej dziedziczności i zmienności u człowieka i teoretyczne ich opracowywanie. 2) rozpowszechnianie wśród członków Towarzystwa i wśród społeczeństwa w ogóle naukowych wskazówek biologji zastosowanej do człowieka i urzeczywistnianie tych postulatów w życiu. 3) Zbliżenie się tych członków Towarzystwa, którzy postanowili ściśle przestrzegać zasady jego w życiu osobistem. Towarzystwo stawia sobie za jedno z zadań swoich walczenie z alkoholizmem, lecz nie wymaga od swych członków zupełnej wstrzemięźliwości od alkoholu. Wkładka roczna waha się od 1. do 20. marek stosownie do środków i życzenia członka. Dotychczas filja Towarzystwa została utworzoną w Szwecji, lecz niebawem mają się pojawić filje w Norwegji, Hollandji, Anglji, Austrji i Stanach Zjednoczonych.

W 1908 r. w Londynie uformowane zostało Tow. ze zbliżonym celem, które przybrało dość dziwną nazwę: Tow. eugienicznego wychowania, co ma oznaczać „Tow. ulepszenia rasy ludzkiej“. Zadaniem jego jest: 1) szerzenie poglądów o wielkiem znaczeniu „eugieniki“, i obowiązkach człowieka względem potomstwa 2) poznanie praw dziedziczności i zastosowaie tego, co już stanowczo jest uznane przez naukę za czynniki pomagające ulepszeniu rasy ludzkiej... 3) nauczanie praw „eugieniki“ w rodzinie, w szkole i przy wszelkim odpowiednim wypadku. Honorowym prezesem tego tow. jest stary Galton, który dużo już pracował nad kwestjami dziedziczności w rodzinie ludzkiej. — Główną uwagę ma zamiar Tow. zwrócić na wychowawców. *B. P.*